

ALEKSANDRA  
**MARININA**  
złowroga  
pętla



**Aleksandra Marinina** (ur. 1957 we Lwowie) – mieszkała w Leningradzie, potem przeniosła się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach rozpoczęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się jej pierwsza książka z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej, *Kolacja z zabójcą*. W 1998 roku Marinina odeszła z milicji i zajęła się pracą literacką. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład ponad trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazało się dotychczas sześć powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004), *Męskie gry* (2004), *Śmierć i trochę miłości* (2005), *Gra na cudzym boisku* (2005), *Złowroga pętla* (2006) i *Kolacja z zabójcą* (2007). W przygotowaniu kolejna – *Zabójca mimo woli*.

ALEKSANDRA

MARININA

złowroga  
pętla



w serii ukazały się:

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*



MRO CZNA  
SERIA

ALEKSANDRA

**MARININA**

---

**złowroga  
pętla**

przełożyła ELŻBIETA RAWSKA

wydawnictwo  
**ab**

Patronat medialny:



Tytuł oryginału: *Смерть ради смерти*

Copyright © by A. Marinina, 1995

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Wydanie I

Warszawa 2006

## ROZDZIAŁ 1

### 1

Olga Krasnikowa ze złością cisnęła słuchawkę na widełki.

- Znów? - posepnie zapytał mąż.

Olga w milczeniu skinęła głową. Już od dwóch tygodni jakiś człowiek nękał ich telefonami, grożąc, że jeśli nie zapłaci dziesięciu tysięcy dolarów za milczenie, opowie Dimie, iż kiedyś go usynowili.

- Dość tego, Olu, trzeba porozmawiać z Dimą. Nie można tej sprawy ukrywać w nieskończoność.

- No coś ty? - Olga aż załamała ręce. - Jak to sobie wyobrazasz? Nie, za nic!

- Zrozumże - zirytował się Paweł Krasnikow. - Nie możemy dać się zaszantażować. Nie wyjdziemy potem z długów przez całe lata. Zresztą skąd weźmiemy takie pieniądze? A co, jeśli facet na tym nie poprzestanie i będzie wysuwał dalsze żądania? Zaczniemy się wyprzedawać, oszczędzać na jedzeniu i ograniczać inne konieczne wydatki. I jak to wyjaśnimy Dimie? Tak czy owak, będziemy zmuszeni powiedzieć mu prawdę.

Olga ciężko usiadła na krześle i rozplakała się.

- Ale... nie wiem, jak to zrobić... Jest w takim wieku... Widzisz przecież, że trudno mu teraz samemu sobie ze sobą poradzić, jego charakter dopiero się kształtuje... I ta historia

z džinsami... Jak zareaguje, kiedy się dowie?... Pasza, boję się. Może lepiej nic Dimie nie mówić?

- Trzeba mu powiedzieć - odparł szorstko Paweł. - I zaraz to zrobię.

Zdecydowanym krokiem wyszedł z kuchni, zostawiając płaczącą żonę samą.

Piętnastoletni Dima siedział w swoim pokoju nad lekcjami. Wysoki, niezgrabny, o długiej, dziecięco cienkiej szyi i w butach rozmiar czterdzieści cztery, przypominał młodego strusia. Zawsze był spokojnym, posłusznym chłopcem - i nagle ta idiotyczna, zupełnie niezrozumiała historia z džinsami, które chciał ukraść w sklepie. Został zresztą przyłapany przez ekspedientki na gorącym uczynku, wezwano milicję, spisano protokół, a chłopca zatrzymano. Olga i Paweł zakrzętnęli się, pożyczyci pieniądze i porozumieli się z adwokatem, który obiecał, że jeśli nie uda się uniknąć sprawy sądowej, to przynajmniej szybko wyciągnie chłopaka z aresztu. Rodzice długo łamali sobie głowy nad tym, co się nagle stało z ich cichym, uległym i posłusznym synem. Sam Dimka nie potrafił swojego postępu sensownie wyjaśnić. Zdarzenie miało miejsce cztery miesiące temu, i od tej pory chłopiec zachowywał się jeszcze spokojniej i grzeczniej, zaczął się nawet lepiej uczyć. Wyglądało na to, że on też nie rozumie, co go wtedy naszło...

Paweł wszedł do pokoju syna i usiadł na kanapie.

- Muszę z tobą poważnie porozmawiać, Dmitrij.

Chłopiec podniósł wzrok znad zeszytu i z niepokojem popatrzył na ojca.

- Na pewno nic nie wiesz o tym, że mama i ja mamy kłopoty... - zaczął Krasnikow.

- To... z powodu tych džinsów? - nieśmiało zapytał Dima.

- Nie, synku. Od dwóch tygodni dzwoni do nas jakiś człowiek i żąda pieniędzy. Dużych pieniędzy, dziesięciu tysięcy dolarów.

- Za co?! - zdumiał się chłopiec. - Co, popełniliście jakieś przestępstwo?

- Jak ci nie wstyd, Dmitrij? - surowo upomniął syna Paweł. - Podobne przypuszczenie nie powinno ci nawet przejść przez myśl. Chodzi o coś innego. Pamiętasz, że twój dziadek Michaił, ojciec mamy, miał brata Borysa Fiodorowicza, który był o wiele od niego starszy i zmarł, zanim ty się urodziłeś?

- Tak, opowiadaliście mi o nim. I widziałem jego zdjęcie w albumie.

- A wiesz, że wuj Borys, czy raczej dziadek Borys, miał córkę Wierę?

- Aha. Mama mówiła, że ona też od dawna nie żyje.

- Zgadza się. Umarła, kiedy urodziła syna. Dano mu na imię Dima.

- Jak mnie? - zdziwił się chłopiec.

- Nie j a k tobie. Po prostu t o b i e.

Dima nachmurzył się i wbił spojrzenie w leżący przed nim podręcznik fizyki.

- Nie rozumiem - wydusił w końcu, nie podnosząc oczu na ojca.

- Twoja mama umarła, synku - wyjaśnił łagodnie Paweł.

- A my cię usynowiliśmy. Teraz nadszedł czas, żebyś się o tym dowiedział.

Dima znowu umilkł na długą chwilę, przetrawiając to, co usłyszał, i starając się nie patrzeć na Pawła. Cisza ciążyła Pawłowi z każdą chwilą bardziej, ale nie wiedział, jak ją przerwać, by nie przysporzyć dziecku jeszcze większego bólu.

- A mój ojciec? - odezwał się w końcu Dima. - Kim jest?

- Jakie to ma znaczenie, synku? - rzekł spokojnie Paweł.

- Twoja mama nie wyszła za mąż, i zupełnie możliwe, że ojciec nawet nie wie o tym, że w ogóle istniejesz. Twoimi rodzicami jesteśmy my, Krasnikowowie. Wychowywaliśmy cię od chwili narodzin, nosisz nasze nazwisko, przeżyliśmy razem ponad piętnaście lat, zgodzisz się, że to kawał czasu. Jesteś już wystarczająco dorosły, żeby można było z tobą mówić otwarcie, niczego nie ukrywając.

- To znaczy, że nie jestem waszym rodzonym synem?  
- drażył dalej Dimka.

- Nonsens - uciął stanowczo Paweł. - Po pierwsze, Wiera była stryjeczną siostrą mamy, tak że bliskie pokrewieństwo istnieje. A po drugie, co to znaczy „rodzony” czy „nierodzony”? Jeśli kogoś kochasz, jeśli ktoś jest ci bliski i drogi, to tak jak rodzony. A co do tego, że ja i mama cię kochamy, nie masz chyba żadnych wątpliwości. Tak więc jesteś naszym rodzonym synem w pełnym sensie tego słowa. I nie waż się nigdy myśleć inaczej.

- Dobrze, tato - cicho, prawie szeptem, odparł chłopiec.

Paweł wstał. Był dobrym człowiekiem, tyle że trochę oschłym, i czuł się teraz niepewnie, nie wiedząc, co robić dalej.

- Myślę, że chciałbyś pobyc trochę sam, żeby się zastanowić nad tym, co ci powiedziałem - rzekł w końcu. - Ja pójdę do mamy. Ona bardzo to wszystko przeżywa.

Olga stała w kuchni. Oczy miała zapuchnięte od płaczu i nerwowo wycierała ścierką umyte przed chwilą naczynia.

- No i co? - zaczęła wypytywać męża. - Powiedziałeś mu?

- Powiedziałem.

- I jak to przyjął?

- Trudno powiedzieć. Chyba musi to przemyśleć.

- Ale nie płacze? - zaniepokoiła się Olga.

- Nie, nie.

- O Boże - jęknęła kobieta - za co nas to spotyka? Czym zasłużyliśmy na taką karę? Żeby tylko teraz nie zamknął się w sobie, nie odciął się od nas i nie uznał, że to my jesteśmy wszystkimu winni!

- Co też ty mówisz? - obruszył się Paweł. - Czemu miałby nas uważać za winnych? Czego?

- A bo ja wiem? - Rozgoryczona Olga machnęła ręką.

- Albo to można zrozumieć, co się dzieje w ich głowach?

Zaczęła nakrywać do kolacji, wyjęła z lodówki rondel z duszonym mięsem, nakroiła chleba. Po dłuższej chwili odezwała się nieśmiało:

- Trzeba by zawołać Dimkę na kolację. Ale się boję.

- Czego się boisz?

- Nie wiem. Czuję jakiś strach. Nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy. Może ty go zawołasz?

Paweł wzruszył ramionami i krzyknął głośno:

- Synku! Myj ręce i chodź do stołu. Kolacja!

Głos go zawiódł, brzmiał jakoś ochryple i fałszywie. Paweł uświadomił sobie, że także jest wytrącony z równowagi, i zmieszany uśmiechnął się do żony.

Rozległy się szybkie kroki, Dimka przemknął do łazienki, skąd dobiegł szum wody.

- Nie denerwuj się - szepnął Paweł do żony. - Wszystko będzie dobrze, jestem pewien. Postąpiliśmy słusznie. Gdybyśmy teraz przemilczeli sprawę, z czasem byłoby tylko gorzej, wierz mi.

Kiedy chłopiec wszedł do kuchni, po jego drżących wargach rodzice poznali, że jest zdenerwowany nie mniej niż oni. W milczeniu usiadł przy stole i zaczął jeść. Olga i Paweł nie byli w stanie prawie nic przełknąć. W końcu kobieta nie wytrzymała napięcia.

- Synku, bardzo jesteś przygnębiony?

Dimka oderwał się od talerza i z ukosa zerknął na matkę.

- Nie wiem. Chyba nie. Widziałem na filmach, że dzieci wpadają w histerię, kiedy się dowiadują o czymś takim, i w ogóle... Ja pewnie też powinienem płakać, tak?

- Ależ skąd, synku, nie ma żadnego powodu do płaczu. Nic się nie zmieniło, prawda? Nadal jesteś przecież naszym synem, a my twoimi rodzicami. W filmach pokazują różne niemądre rzeczy, byleby tylko wzmóc napięcie u widza.

Paweł uśmiechnął się zadowolony. Wiedział z góry, że obejdzie się bez wielkich historii, nie pomylił się co do swojego Dimki. Ani co do Oleńki.

- Teraz niech sobie dzwonią na zdrowie - powiedział.  
- Nikogo się już nie musimy bać, prawda? - dodał dziarsko.

Ale jego radość okazała się przedwczesna, gdyż kiedy dwa dni później szantażysta zatelefonował znowu, po prostu nie uwierzył w to, co usłyszał od Olgi.

- Aha, myślicie, że znaleźliście głupiego. - Parsknął śmiechem w słuchawkę. - Akurat wam uwierz! Niech wasz syn sam podejdzie do telefonu i powie, że o wszystkim wie, wtedy zobaczymy.

- Ale nie ma go w domu... - Olga, nieprzygotowana na taki obrót sprawy, pozwoliła się zaskoczyć. Dimki zresztą rzeczywiście nie było.

- Jasne, jakżeby inaczej! - sarknął szantażysta. - A więc tak, mamusiu. Szykujcie forse, okres negocjacji się skończył, pojutrze zadzwonię o tej samej porze. I żeby wszystko było załatwione tip-top, rozumiemy się?

Paweł, który w milczeniu obserwował rozmowę żony z szantażystą, nagle wybuchnął:

- Koniec! Dostyc tego! Trzeba łobuzów nauczyć rozumu. W tej chwili idę na milicję i składam pisemną skargę na tego typa! Tyle krwi nam napsuł!

- Ależ uspokój się, Paszeńka - próbowała go powstrzymać żona. - Niech sobie dzwoni, nie musimy już się go bać. Zadzwoni jeszcze parę razy i przestanie.

- Przestanie? A jeżeli zechce zrealizować swoją groźbę? On przecież nie uwierzy, że opowiedzieliśmy Dimie o wszystkim, i może próbować przyłapać go gdzieś na ulicy, żeby otworzyć chłopakowi oczy. Jesteś pewna, że Dima przyjmie to spokojnie? Nie rzuci się na niego z pięściami? Albo że się nie wystraszy i nie dostanie szoku? Nie chcę, żeby ten zwyrodnialec dopadł mojego syna gdzieś w ciemnym zaułku.

Wybiegł do przedpokoju i zaczął się szybko ubierać. Olga rzuciła się, żeby go powstrzymać, ale nagle zrozumiała, że mąż ma rację. Absolutną rację.

Do gabinetu szefa wydziału śledczego prokuratury miejskiej Konstantin Michajłowicz Olszański wchodził zawsze śmiało. Po pierwsze, długo i dobrze znał swego zwierzchnika, po drugie zaś, równie dobrze wiedział, że jego własny arogancki, niemal impertynencki sposób bycia, graniczący niekiedy ze zwyczajnym chamstwem, stanowi niezawodną tarczę ochronną. Olszańskiego w prokuraturze nie lubiano i bano się mieć z nim do czynienia, chociaż doceniano jego profesjonalizm i gruntowną znajomość przepisów prawa.

Konstantina Michajłowicza natura szczerze obdarzyła męską urodą, on jednak mimo to robił wrażenie niechlujnego ofermy w wiecznie wymiętym garniturze, niedoczyszczonych butach i okularach w staromodnej, od dawna połamanej i byle jak sklezionej oprawce. Najdziwniejsze, że Nina, żona Olszańskiego, sumiennie dbała o jego garderobę i obuwie i co dzień rano, gdy wyprawiała męża do pracy, prezentował się on naprawdę bardzo przyzwoicie, ale już w pół drogi do prokuratury wszystkie starania Niny szły na marne. Natury tego zagadkowego zjawiska nie pojmowała ani ona, ani sam Konstantin Michajłowicz, ani jego bliscy przyjaciele, dwie córki Olszańskiego zaś twierdziły zgodnie, że tatuś wytwarza „szczególne biopole”.

Także i teraz stał w gabinecie szefa wydziału śledczego z ponurą i nieszczęśliwą miną; jego wygląd mógł zwieść każdego z wyjątkiem tych, którzy choć raz mieli do czynienia ze starszym śledczym Olszańskim.

– Kostia, zależy mi na tym, żebyś z tej sprawy zrobił prawdziwe cacuszko.

Z tymi słowy szef wręczył Olszańskiemu cieniutką teczkę z kilkoma arkusikami papieru w środku.

– Co to jest? – zapytał Konstantin Michajłowicz, biorąc do ręki zupełnie jeszcze nieważkie akta jakiejś sprawy.

– Chodzi o nękanie telefonami i szantaż. Pewien obywatel żąda od małżonków Krasnikowów pieniędzy, grożąc ujawnieniem tajemnicy adopcji.

- Nie rozumiem.

Konstantin Michajłowicz ostrożnie odłożył teczkę na biurko, tak jakby za chwilę miała wybuchnąć.

- Chulikańskie wygłupy przez telefon to nie nasza działka, tym powinna się zajmować milicja. Czego się właściwie po mnie spodziewasz?

- Chcę, żebyś zajął się sprawą o naruszenie tajemnicy adopcji.

Olszański otworzył teczkę i szybko przejrzał znajdujące się tam dokumenty.

- Ale tutaj nie ma skargi osób, które ucierpiały z powodu naruszenia tajemnicy adopcji. Jest tylko skarga na nękanie telefoniczne.

- A więc ty załóż teraz sprawę o naruszenie tajemnicy - powiedział szef. - Jesteś śledczym i wszystko zależy od ciebie.

Olszański popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Możesz mi wyjaśnić, po co to? Co ty znowu knujesz? I w ogóle jak ta telefoniczna sprawa do ciebie trafiła?

- Ależ nic nie knuję, Kostia. Słowo daję, ty zawsze we wszystkim wieszysz podstęp. Prokurator miejski przeprowadził wybiórczą kontrolę sankcji prokuratorów rejonowych i trafił na pismo z okręgowego Urzędu Spraw Wewnętrznych z prośbą o pozwolenie na założenie podsłuchu w aparacie telefonicznym, należącym do małżonków Krasnikowów, w związku z ich oświadczeniem, że stale dzwoni do nich osobnik o nieustalonej tożsamości i żąda pieniędzy, grożąc naruszeniem tajemnicy adopcji. Prokurator zwrócił się więc do organów milicji z całkowicie uzasadnionym pytaniem: w jaki sposób ów natrętny szantażysta zdołał poznać tę starannie strzeżoną tajemnicę? Ktoś przecież musiał mu ją zdradzić, tym samym ją naruszając. A za to odpowiada się z artykułu sto dwadzieścia cztery naszego ukochanego i na razie wciąż jeszcze obowiązującego kodeksu karnego. Oto i cała historia.

- Mało przekonywające. - Olszański pokręcił głową. - A jak ta sprawa trafiła do ciebie? Co, ci Krasnikowowie to znajomi naszego prokuratora? A on, dlaczego nie oddał sprawy do prokuratury rejonowej?

- Dlaczego, dlaczego - burknął szef wydziału śledczego. - Dlatego. Chce mieć dobrze przeprowadzoną, pokazową sprawę, która stanowiłaby przykład dla młodych śledczych, no wiesz, żeby mieli się na czym wzorować. Czy pięć lat temu ktokolwiek mógł przypuszczać, że będziemy się zajmowali sprawami dotyczącymi oszczerstw i pomówień? Coś takiego zdarzało się raz na sto lat i było rozpatrywane przez sąd jako sprawa z oskarżenia prywatnego. A teraz sejfy pękają od spraw o obronę dobrego imienia. Oczywiście, nie karnych, tylko z powództwa cywilnego, ale prokuratura i tak musi je nadzorować. A naruszenie tajemnicy adopcji to nasza działka i jak nie dziś, to jutro możemy zostać zasypani prawdziwą lawiną podobnych spraw.

- Skąd takie ponure prognozy?

- A jak myślisz, skąd? To przewidywania naszych analityków.

- Naprawdę im wierzysz? - mruknął pogardliwie Konstantin Michajłowicz. - Daj spokój!

- No wiesz... Nie zawsze, ale w tym wypadku tak. Dziś można kupić każdą informację, to kwestia ceny, a im więcej ludzie mają pieniędzy, tym częściej je przeznaczają właśnie na ten cel. To po pierwsze. Po drugie, naruszenie tajemnicy można wykorzystać jako dobry sposób na wyciągnięcie od pozwanego forsy w ramach rekompensaty za straty moralne. Tak więc my musimy być dobrze przygotowani do rozpatrywania tego rodzaju skarg, żeby nikt, ani adwokaci, ani sędziowie, nie mógł nam zarzucić, że nie potrafimy zebrać materiału dowodowego i właściwie go wykorzystać. Owszem, w dawnym KGB dobrze to umieli, jako że zajmowali się tam sprawami dotyczącymi naruszenia tajemnicy państwowej, ale my nigdy nie mieliśmy z niczym podobnym do czynienia. Chcę, żebyś opracował cały system działania w takich

sprawach, sposób gromadzenia dowodów, spisywania protokołów i wniosków. Dlatego właśnie powierzam ci sprawę Krasnikowów. Jesteś ze wszystkich naszych śledczych najlepiej do tego przygotowany i tylko ty potrafisz zająć się tym problemem jak należy. Wierzę w ciebie, Kostia, mam zaufanie do twojego profesjonalizmu i wiem, że każdą sprawę starasz się załatwić perfekcyjnie. Z pewnością mnie nie zawiedziesz i nie będę musiał świecić oczami, przekazując zebrane materiały prokuratorowi.

- Pochlebia mi to - z ironicznym uśmiechem oświadczył Olszański, wykonując przy tym przesadnie unizony ukłon. - A więc jak trzeba sklecić jakąś pokazówkę, to w te pędy do Kosti. Ale kiedy chodzi o podwyżkę, słyszę: „Przykro mi, Konstantinie Michajłowiczu, ale nic się nie da zrobić”. Bardzo rozsądna zasada, bez dwóch zdań.

Szef skrzywił się z niezadowoleniem.

- No już dobrze, do śmierci będziesz mi to wypominał! Wiesz przecież, że nie było wtedy pieniędzy.

- No tak, ale dla ciebie na premię w wysokości trzech miesięcznych pensji pieniądze jakoś się znalazły. Wiesz co, przestań mi mydlić oczy. Wezmę tę sprawę, bo rozumiem, że to polecenie służbowe, więc wcale nie musisz mi schlebiać i udawać przyjaciela. Najzupełniej wystarczy, że ty tu jesteś zwierzchnikiem, a ja podwładnym.

- Och, ależ z ciebie numer, Konstantin! - rzekł z westchnieniem szef wydziału śledczego.

- Trudno, jestem, jaki jestem, innego towaru nie ma na składzie, trzeba brać, co dają, bo i to się kończy - odciął się ostro Olszański, opuszczając gabinet przełożonego z cienką tekturową teczką pod pachą.

### 3

Leonid Łykov, lat dwadzieścia osiem, od czoła spora łysina, z tyłu długie, zmierzwione kłaki, okrągły „piwny” brzuszek i błyszczące rozbiegane oczka, wiercił się na krześ-

le w pokoju Olszańskiego, jakby siedział na rozpalonej blasze. Został zatrzymany parę godzin wcześniej, kiedy kolejny raz próbował telefonicznie szantażować Olę Krasnikową, by zapłaciła mu dziesięć tysięcy dolarów w zamian za utrzymanie w tajemnicy informacji, która stała się już zupełnie bezwartościowa. I teraz Konstantin Michajłowicz z mozołem usiłował wyciągnąć z Łykowa odpowiedź na pytanie, od kogo tę informację uzyskał.

- Podał mi ją Aleksander Władimirowicz Gałaktionow - oświadczył w końcu Łykov, odwracając spojrzenie od śledczego. Wbił wzrok w podłogę.

- Po co? W jakim celu to zrobił? Miał pan się z nim podzielić pieniędzmi, które spodziewaliście się wyłudzić od Krasnikowów?

- Nie-e - zaprzeczył z oburzeniem Łykov. - Gałaktionow nie z tych, co to by... Miałem długi, no to poradził mi, jak można zdobyć forszę. Całkiem bezinteresownie.

- A on sam skąd miał tę informację?

- Bo ja wiem? - odpowiedział Łykov, wzruszając ramionami.

- Nie pytał go pan o to?

- Nie-e. Dla mnie to bez różnicy. Jak pierwszy raz zadzwoniłem, zorientowałem się z reakcji Krasnikowów, że mnie nie oszukał.

- I nie ma pan nawet bladego pojęcia, skąd Gałaktionow dowiedział się o tej sprawie? Niech pan sobie przypomni, może z tego, co mówił, wynikało, że Krasnikowowie to jego krewni lub znajomi? Proszę się dobrze zastanowić.

- Nie ma się nad czym zastanawiać! Powiedziałem przecież, że nie wiem. Pojechałem do niego, żeby zapytać, czy nie mógłby mi pożyczyć forsy na procent na jakieś trzy miesiące, a on na to, że nie jest instytucją charytatywną, ale jeżeli są mi potrzebne pieniądze, to mogę spróbować zadzwonić pod taki to a taki numer, do rodziców usynowionego chłopca. Podał mi ich nazwisko, adres, telefon, i koniec. To wszystko.

- No dobrze. - Olszański westchnął. - Niech mi pan poda namiary na tego Gałaktionowa, muszę sprawdzić pańską bajeczkę. Adres, telefon, miejsce pracy.

- Przecież pan to wszystko ma! - zdziwił się zupełnie szczerze Łykow.

- Co mam? - burknął Olszański.

Łykow milczał, z zakłopotaniem spoglądając na śledczego. Przestał się nawet wiercić na krześle.

- N-no... te dane... - wydusił wreszcie, zacinając się.

- Jakie dane?

- Eee... G-gałaktionowa. Przecież on nie żyje. To znaczy, został zabity.

- Co?!

Olszański zerwał okulary i wbił spojrzenie w nieszczęsnego Łykowa. Konstantin Michajłowicz był bardzo krótkowzroczny i grube soczewki jego okularów sprawiały, że ludziom, którzy go nigdy nie widzieli bez szkieł, wydawało się, iż oczy Olszańskiego są małe i niezbyt wyraziste. W istocie były piękne, duże i ciemne, kiedy zaś śledczego coś rozgniewało, wprost pały wściekłością, przygważdżając zaskoczonego i przerażonego rozmówcę do miejsca. Jeżeli, oczywiście, Konstantin Michajłowicz nie zapomniał zdjąć okularów.

- Proszę powtórzyć, bo chyba źle pana zrozumiałem - żądał Olszański z lodowatym spokojem. - I niech się pan postara nie jakać.

- Aleksander Władimirowicz Gałaktionow został zamordowany jakieś trzy tygodnie temu. Przesłuchiwałem mnie już przecież w tej sprawie. Czyżby pan o tym nie wiedział?

- A niby skąd miałbym wiedzieć? - rzucił z rozdrażnieniem śledczy. - Nie ja pana przesłuchiwałem. Niech pan wraca do celi i jeszcze raz dobrze się zastanowi nad tym, co dokładnie powiedział panu Gałaktionow, przekazując namiary Krasnikowów.

Nacisnął guzik, wzywając konwojenta. Potem jeszcze długo siedział, pocierając czoło, aż wreszcie zebrał papiery ze stołu i opuścił gościnnie gmach aresztu śledczego.

Nazajutrz rano leżała przed nim pisemna notatka, informująca o wszczęciu śledztwa w związku z odnalezieniem zwłok obywatela A. W. Gałaktionowa. Ciało denata znajdowało się w mieszkaniu jego kochanki, odkryto je zaś tam cztery dni po zgłoszeniu przez małżonkę zaginięcia męża. Stwierdzono wówczas, że Gałaktionow nie żyje co najmniej od tygodnia. Jego kochanka, Nadieżda Andriejewna Szytowa, przez cały ten czas przebywała w szpitalu, gdzie przeszła operację usunięcia ciąży pozamacicznej. Przyczyną śmierci denata było otrucie cyjankiem.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Gałaktionowa okazało się niezwykle trudne, gdyż krąg znajomych ofiary był na tyle szeroki, a zakres jego działalności tak różnorodny, że, na przykład, młodemu, rozpoczynającemu dopiero działalność zawodową pracownikowi operacyjnemu roboty związanej z ustaleniem i sprawdzeniem wszelkich możliwych wersji wydarzeń starczyłoby aż do emerytury. Po pierwsze, Gałaktionow był szefem wydziału kredytowego w banku handlowym, nękanym bezustannie przez różnego autoramentu grupy przestępcze. Po drugie, okazał się wielkim amatorem płci pięknej, a ponieważ zachowywał się nie dość ostrożnie, stale miewał na pieńku z mężami lub kochankami swoich wybranek; niekiedy wchodziła mu również w paradę ślubna małżonka. Po trzecie – i to chyba najważniejsze – namiętnie grywał w karty. Tak więc przypuszczalnych wersji mogło być wiele, przeciwnie niż ludzi, którzy mieli je sprawdzać.

Olszański przejrzał pobieżnie listę przesłuchanych przyjaciół, krewnych i znajomych Gałaktionowa i rzeczywiście odnalazł wśród innych również nazwisko Łykowa. Sprytny szantażysta nie skłamał. Konstantin Michajłowicz uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji patowej, skoro bowiem Łykov wiedział od dawna o śmierci Gałaktionowa, to mógł na pewniaka podać denata jako źródło informacji, słusznie zakładając, że prawdziwości jego słów potwierdzić ani zaprzeczyć nie sposób. Jeśli zaś nie kłamał i informację dotyczącą Dimy Krasnikowa otrzymał rzeczywiście od Gałaktiono-

wa, to trzeba będzie na nowo przesłuchać cały ogromny krąg znajomych nieboszczyka, żeby ewentualnie trafić na jakiś ślad, prowadzący do pierwotnego źródła przecieku. Zanim jednak przyjdzie się rzucić w ten bezdenny odmęt, warto raz jeszcze porozmawiać z poszkodowanymi, czyli Krasnikowami. Nikt nie wie przecież lepiej niż oni sami, kto mógł wiedzieć o usynowieniu Dimy.

#### 4

Zadygotał całym ciałem w strumieniach lodowatej wody, ale po chwili z przyjemnością poczuł, że powracają mu siły i rześkość, i szorstką myjką zaczął nacierać ciało, aż skóra się zaczerwieniła. Następnie wytarł się frotowym ręcznikiem i zabrał do golenia. Po chłodnym prysznicu energia go wprost rozpierała. Usiadł do śniadania w doskonałym humorze, z apetytem zjadł jajecznicę, dwie parówki i grzanki z serem, zapijając wszystko kawą.

- Nie spóźnisz się? - zapytała żona, rzuciwszy okiem na zegar, i wpięła w uszy srebrne kolczyki. - Już dziesięć po ósmej.

- Dzisiaj popracuję w domu, chcę wreszcie skończyć artykuł.

- Szczęściarz z ciebie - rzuciła z zazdrością. - Gdybym to ja mogła pracować w domu! Że też mężczyźni zawsze potrafią się tak dobrze urządzać! No to na razie, muszę pędzić. Jeżeli się zdecydujesz zrobić sobie przerwę, odbierz rzeczy z pralni, kwity leżą na lodówce.

- Odbiorę, odbiorę - obiecał wspaniałomyślnie. - Jak będę wyprowadzał Brylanta, to przy okazji po nie wstąpię.

Po wyjściu żony siedział jeszcze chwilę w kuchni, po czym poszedł do pokoju, wyjął papiery z teczki i rozłożył je na biurku. Artykuł był prawie gotowy, pozostawało tylko wpisać czarnym flamastrem wzory i dodać dwa, trzy akapity podsumowania. Uporał się z tym w półtorej godziny.

Przepisał na maszynie ostatnią stronę z kilkoma zdaniami, które sformułował przed chwilą, po czym złożył kartki, starannie je wyrównał i szepił kolorowym plastikowym spinaczem. Potem długo patrzył na pierwszą stronę, gdzie widniał napisany dużymi literami tytuł, a pod spodem – nazwiska czterech współautorów. Uśmiechnął się, znów wziął do ręki flamaster i jedno z nazwisk starannie obwiodł czarną ramką. Był bardzo zadowolony ze swojej pracy.

## 5

Zbliżając się do gmachu moskiewskiego Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych na Pietrowce, Anastazja Kamieńska pomyślała z rezygnacją, że chyba nie uniknie przeziębienia. Pierwsza kałuża, do której wpadła po kostki, była tuż koło domu, drugi raz woda wlała jej się do butów u wejścia do metra. Kozaki były zupełnie nowe, ale mimo to przemakały. Producentom z pewnością nawet nie przychodzi do głowy, że w zimowym skórzanym obuwiu ludzie będą brodzić po kolana w błocie i wodzie. Najwyraźniej technologia produkcji nie nadaża za zjawiskiem globalnego ocieplenia.

Przez całą drogę do metra Nastia ohydnie chlupało w butach, a ona, uznawszy, że gorzej już być nie może, przestała patrzeć pod nogi, i tak przecież przemoczone, i pogrążyła się we własnych myślach. Ta beztroska skończyła się tym, że w ciągu paru minut, których wymagało dojście od stacji Czechowska do gmachu na Pietrowce, Nastia wdepnęła w kałużę co najmniej cztery razy. Teraz nogi miała nie tylko mokre, ale i zimne.

Zaraz po wejściu do gabinetu zdjęła kozaczki i zafraszowana obejrzała swoje stopy. Rajstopy były zupełnie przemoczone, ściekały z nich powoli krople wody, smętnie skapując na podłogę. Nastia zamknęła drzwi na klucz, ściągnęła dżinsy, potem rajstopy i popadła w rozterkę, niezdecydowana, co robić dalej.

Ktoś poruszył klamkę, a później zapukał.

- Aśka, otwórz, widziałem, jak wchodziłaś. No otwórz, musimy pogadać.

To był Jura Korotkow, przyjaciel i kolega Nastii, który uczynił z niej swoją powiernicę i stale dzielił się z nią przeżyciami miłosnymi, a miał ich zawsze całe mnóstwo.

- Nie mogę - odpowiedziała Anastazja przez drzwi.  
- Przebieram się.

- No dobra, otwieraj, nie będę patrzył - nalegał Korotkow.

- Cicho bądź - spokojnie odparła Nastia, wyjmując z szafy spódnice, kurtkę mundurową z naszywkami majora i koszulę. Niedobrze, że pantofle trzeba będzie włożyć na boso nogi, ale nie ma innego wyjścia - Nastia ani rusz nie mogła się nauczyć, że zawsze trzeba mieć w torebce zapasową parę rajstop.

- No, Aśka - marudził pod drzwiami Korotkow, zapamiętane szarpiąc za klamkę. - Otwieraj, bo pęknę, jeśli zaraz nie podzielę się z tobą tą wiadomością.

- Poczekajże chwilę! - rzuciła rozzłoszczona Nastia. - Wytrzymałeś całą noc, to wytrzymasz jeszcze minutkę.

- Jaką tam noc! - nie ustawał w naleganiach Jura. - Dopiero co sam się dowiedziałem i zaraz przyleciałem do ciebie. Chodzi o Gałaktionowa. No co, stworzysz?

Drzwi natychmiast się otworzyły. Kiedy rzecz dotyczyła pracy, Anastazja Kamińska zapominała o zasadach przyzwoitości. Teraz stała przed Korotkowem w szarej mundurowej spódnicy, cienkim białym podkoszulku, boso i z niebieską koszulą w rękach.

- Wchodź prędzej - szepnęła, znów zamykając drzwi.  
- No, gadaj, co się stało?

- Przed chwilą Kostia Olszański dzwonił do Pączka w sprawie Gałaktionowa. Byłem u Gordiejewa w gabinecie i słyszałem to na własne uszy.

- Olszański? - zdziwiła się Nastia. - A co on ma z tym wspólnego? Przecież sprawę Gałaktionowa prowadzi Igor Lepioszkin. Czy coś się zmieniło?

- Właśnie w tym rzecz. O ile się zorientowałem z odpowiedzi Pączka, Kostia trafił na Gałaktionowa, zajmując się zupełnie inną sprawą. Za pół godziny będzie odprawa, Pączek znów weźmie nas na spytki, zaczniesz drażnić, co z zabójstwem Gałaktionowa, a tu pełna kłapa, sama wczoraj mówiłaś. Dzwonź zaraz do Kosti, może przez te pół godziny zdążysz coś sklecić.

- Jurka, jesteś prawdziwym przyjacielem. Boję się tylko, że Kostia pośle mnie do wszystkich diabłów. Wiesz przecież, jaki potrafi być arogancki. Bądź tak dobry, zawiąż mi krawat.

- Ach, dopiero teraz zauważyłem, właściwie dlaczego włożyłaś mundur?

- Kompletnie przemoczyłam buty, a dzinsy mam mokre po kolana. Niech chociaż trochę podeschną - wyjaśniła Nastia, wsuwając stopy w wąskie, niewygodne pantofle.

- Nie jesteś z Kostią w najlepszych stosunkach? - zainteresował się Korotkow, otwierając lufcik i zapalając papierosa. - Dlaczego boisz się do niego dzwonić?

- Nie, w normalnych, po prostu nie lubię impertynentów.

- Strasznie jesteś delikatna, koleżanko, w naszej pracy człowiek musi być bardziej zahartowany.

- Nie może mi wybaczyć Łarcewa. Zresztą ja sama też nie mogę go sobie wybaczyć.

- Nie wygłupiaj się, Aśka, nikt tu nie zawinił. I Kostia świetnie o tym wie. Nie nakręcaj się. No już, dzwoń, może wspólnymi siłami zdołamy rzucić coś Pączkowi na żer.

Ale były to płonne nadzieje. Olszański zachowywał się z wyniosłą uprzejmością, nie pozwalał sobie na przykre docinki, z tego jednak, co udało im się z niego wyciągnąć, nie można było w żaden sposób sklecić w miarę przyzwoitego raportu dla szefa.

Pułkownika Wiktora Aleksiejewicza Gordiejewa podwładni nazywali Pączkiem bez żadnych złośliwych intencji. Już od trzydziestu lat nikt nie ważył się z pułkownika pokpiwać, a przezwisko, które przyłgnęło do niego jeszcze w latach młodości i przechodziło z pokolenia na pokolenie, przekazy-

wane przez odchodzących na emeryturę nowicjuszom, obecnie nabrało niemal groźnego wydźwięku: nie dajcie się zwieść temu, że młody i okrągły, bo w rzeczywistości jestem niebezpieczny i szybki jak ołowiana kula.

Gordiejew zaczął odprawę, jak zwykle, spokojnie i życzliwie. Jednakże wszyscy jego pracownicy wiedzieli, że nawet jeśli któremuś z nich grozi porządna bura, Pączek nigdy tego po sobie nie pokaże wcześniej. Lubił swoich podwładnych i traktował ich z szacunkiem, w przekonaniu, że niepotrzebna, a zwłaszcza przedwczesna wojna nerwów bynajmniej nie sprzyja wykrywaniu zabójstw czy innych ciężkich przestępstw.

– Już dawno nie słyszałem, jak posuwa się sprawa z parku Bitcewskiego – zagał Pączek. – Słucham, Lesnikow.

Igor Lesnikow, najprzystojniejszy wywiadowca na Pietrowce, a zarazem jeden z najbardziej obowiązkowych, poważnych i sumiennych pracowników, zaczął wyczerpująco referować, jakie kroki podjęto w celu wykrycia sprawcy trwającej miesiąc serii gwałtów, do których doszło na terenie parku Bitcewskiego. Sprawę rozpracowywano już od czterech miesięcy, początkowy zapal przygasł, a w takich wypadkach Pączek kazał podwładnym meldować, co i jak, mniej więcej raz na tydzień. Nastia uważnie słuchała Igora, starając się nie myśleć na razie o zabójstwie Galaktionowa.

Sama wniosła niemały wkład w sprawę gwałtów w parku Bitcewskim, długo i skrupulatnie opracowując schemat, który pozwolił znaleźć pewne prawidłowości w sposobie działania przestępcy. Na tej podstawie Anastazja i Igor stworzyli portret psychologiczny gwałciela oraz charakterystykę jego metody i teraz cierpliwie, dzień po dniu, przesłuchiwali wszystkich ewentualnych podejrzanych. Ścisłej biorąc, przesłuchiwał ich Igor, co wieczór przedstawiając Nasti rezultaty swoich dokonań, a ona przeprowadzała analizę uzyskanych informacji.

– Posuwacie się bardzo powoli, zbyt powoli – z niezadowolaniem skonstatował Gordiejew. – Ale w zasadzie ogólny

kierunek podjętych działań wydaje się słuszny. Idźmy dalej. Zabójstwo Gałaktionowa. Kto zreferuje sprawę? Kamieńska?

- Proszę pozwolić, Wiktorze Aleksiejewiczu, że ja to zrobię - wyrwał się Korotkow. - Wyszły na jaw nowe okoliczności. Krąg znajomych Gałaktionowa jest, jak pan wie, niezwykle szeroki: w ciągu trzech tygodni przesłuchano ponad siedemdziesiąt osób, które mogłyby ewentualnie udzielić jakichś informacji o samym denacie, jak i o możliwych przyczynach jego zabójstwa. Jeszcze trzy dni temu wydawało nam się...

- Nam, czyli komu? - przerwał mu Gordiejew, dodając złośliwie: - Mnie? Anastazji? Mikołajowi Drugiemu?

Jura nabrał tchu i po chwili przerwy kontynuował:

- Przede wszystkim myślał tak śledczy Lepioszkin, a ja w pełni się z nim zgadzałem. Dlatego też przekonałem Kamieńską...

- A ona nie ma własnej głowy na karku? No dobrze, jedź dalej.

- Wydawało nam się, że ustaliliśmy pełny krąg osób, które mogłyby udzielić informacji o Gałaktionowie. Wszyscy ci ludzie mówili to samo, przytaczali w zeznaniach te same fakty, podawali te same nazwiska, imiona, adresy. Każda wersja, opracowana na podstawie uzyskanych informacji, jest sprawdzana, powstają również nowe. Jednakże wczoraj wypłynęła informacja, która pozwala nam sądzić, że wyłoniony krąg znajomych Gałaktionowa nie jest kompletny i że pewna sfera jego działalności nikomu z przesłuchiowanych osób w ogóle nie jest znana. Jak to się mogło stać, że nie dowiedzieliśmy się o tym wcześniej? Nie potrafię na razie na to odpowiedzieć, Wiktorze Aleksiejewiczu. Mam tylko przypuszczenia, których nie chciałbym przedwcześnie formułować, żeby nikogo niepotrzebnie nie krzywdzić...

Gordiejew podniósł wzrok znad kartki, na której gryzmołił coś w zadumie, słuchając oficerów operacyjnych, i popatrzył pytająco na Nastię. „Wiesz coś o tym? O czym on gada?” - mówiło jego spojrzenie. Anastazja ledwo dostrzegalnie

skinęła głową: tak, wszystko w porządku, jeśli chce pan znać szczegóły, potem wyjaśnię dokładniej, o co chodzi.

- Racja, nie należy nikogo krzywdzić. - Wiktor Aleksiejewicz pokiwał okrągłą, łysą głową. - Ale i mnie nie ma sensu mydlić oczu. Jakie kroki zamierzasz teraz podjąć? Jak chcesz wyświetlić sprawę tej tajemniczej sfery działalności Gałaktikowna?

- Przede wszystkim mam zamiar dokładnie przeanalizować dotychczasowe zeznania i spróbować znaleźć w nich luki.

- Czyli, innymi słowy, zamierzasz sprawdzić, czy nie można by wyciągnąć czegoś jeszcze od osób, które już znalazły się w waszym polu widzenia. Chcesz się zorientować, czy są pośród nich takie, które najprawdopodobniej coś przemilczały. I co, poprawnie przetłumaczyłem twoją tyradę na ludzki język?

- Tak jest, obywatelu pułkowniku. Nie jesteśmy w stanie rozszerzać w nieskończoność kręgu przesłuchiwanym, by znaleźć wśród nich osoby, które odpowiadając na pierwsze pytanie, od razu wyśpiewają wszystko, czego się chcemy dowiedzieć. Uważam, że należy intensywniej przycisnąć tych świadków, których już mamy.

- Tak.

Pączek przesunął po zebranych ciężkim, ołowianym spojrzeniem.

- Nasz szanowny kolega Korotkow postanowił nam tutaj urządzić lekcję elementarnych zasad, żeby za zasłoną mglistych ogólników ukryć własne niepowodzenia. To smutne. A jeszcze smutniejsze, że mimo tylu lat pracy w wydziale wciąż się nie nauczył, że przyznać się do niepowodzenia to nie wstyd. Podobnie jak nie wstyd przyznać się do błędów. Owszem, może i nieprzyjemnie, ale nie wstyd. Co więcej, przyznanie się w porę do niepowodzenia czy błędu pozwala naprawić sytuację, ale im dłużej się z tym zwleka, tym bardziej szanse takiej naprawy maleją. Powtarzałem wam to milion razy. Tak czy nie?

Znów powiódł wzrokiem po wszystkich zebranych.

– A teraz jedźmy dalej – podjął po chwili zupełnie innym, spokojnym głosem. – Wszyscy, którzy pracują nad sprawą zabójstwa Gałaktionowa, po zebraniu zostaną u mnie.

Nastia odetchnęła z ulgą. Było jej strasznie żal Jurki Korotkowa, który z własnej woli wystawił się na cios, ale wszystko poszło zgodnie z przewidywaniami. Pączek ich ochrzanił, co słusznie im się należało, chociaż skąd, na przykład, mieli wiedzieć, że Lepioszkinina nie można zostawiać sam na sam ze świadkami płci żeńskiej? Jak również brać później za dobrą monetę tego, co zostało zapisane w protokołach zeznań takich świadków? Nastia już pod koniec pierwszego tygodnia wspólnej pracy czuła, że z Igorem Lepioszkinem coś jest nie tak, ale milczała, uważając, że człowiek, który przepracował prawie dwadzieścia lat jako śledczy, to profesjonalista umiejący oddzielić subiektywne oceny i wrażenia od faktów i dowodów przestępstwa. Nawet sam Pączek nie znosił, kiedy jego detektywi zaczęli się skarżyć na śledczych. „Jeżeli nie możecie znaleźć wspólnego języka ze śledczym, to znaczy, że jesteście nic niewarci jako oficerowie operacyjni” – powtarzał ciągle. Oprócz Nastii i Jurija zabójstwem Gałaktionowa zajmował się jeszcze Misza Docenko, i we troje przesłuchali tyle osób, ile tylko mogli, szamocąc się między tą sprawą a co najmniej dziesięcioma innymi. Pozostałe osoby przesłuchiwał Lepioszkin. No i zawałił sprawę... Jednym słowem, stchórzyli, nie upierali się przy swoim i teraz dostali od Gordiejewa zasłużoną reprimendę. Ale najważniejsze, że udało im się tak rozegrać sprawę na zebraniu, że szef doznał naglej iluminacji. Najpierw wściekał się, złościł, pouczał, i raptem, ni z tego, ni z owego, najspokojniej przeszedł do kolejnego punktu, jak gdyby o Korotkowie i jego wpadce w ogóle nie było mowy. Nie bez powodu również Pączek kazał Nastii, Korotkowowi i Docence zostać po zebraniu. Znaczyło to, że pułkownik też przypomniał sobie o dziwactwie Lepioszkinina i rozumiał, że nikt z nich trojga nie zawinił. W końcu oni śledczych sobie nie wybierają. Za to Gordiejew,

jako szef, nie jest bez winy. Powinien był w porę sobie uprzytomnić, co to za typ ten Igor Jewgienjewicz Lepioszkin, i udzielić swoim podwładnym szczegółowych instrukcji, a nie czekać, aż nabiją sobie guzów i siniaków, nabierając własnego smutnego doświadczenia.

Kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim wychodzącym z gabinetu Gordiejewa oficerem operacyjnym, pułkownik podniósł głowę i wbił surowe spojrzenie w Korotkowa.

- Co to za cyrki mi tu urządacie? Dlaczego nie przyszlście od razu i nie powiedzieliście, że Lepioszkin miesza wam szyki?

- Wiktorze Aleksiejewiczu, pan nie cierpi, kiedy przychodzimy do pana ze skargami. Ile razy zmywał nam pan głowę za to, że wciąż wyrzekamy na śledczych? Sam pan bez końca powtarzał, że śledczy to postać numer jeden, a naszym zadaniem jest spełniać jego polecenia i dopiero w czasie wolnym od podstawowych obowiązków służbowych podejmować działania z własnej inicjatywy - oznajmiła Nastia, zasiadając w swoim ulubionym fotelu w kącie gabinetu.

- Mało to różnych rzeczy człowiek mówi - mruknął pod nosem Pączek. - Może tylko żartowałem. A więc tak, moi kochani. Biję się w piersi, przeoczyłem Lepioszkin. Znam go od dawna, w prokuraturze miejskiej pracuje zaledwie dwa miesiące, przedtem wiele lat siedział w dzielnicowej i rejonowej. Wy, dzięki Bogu, nie mieliście wcześniej okazji się z nim zetknąć, bo specjalizował się w przestępstwach gospodarczych. Kiedy mi powiedziano, że sprawę zabójstwa Gałaktionowa prowadzi śledczy Lepioszkin, powinienem był całą waszą trójkę od razu uprzedzić, że wszystkie kobiety musicie przesłuchać sami, inaczej nie będzie z tego żadnego pożytku. Nie ostrzegłem, za co się kajam. Tyle na ten temat. Przechodzę do następnego. Dzwonił dziś do mnie Konstantin Michajłowicz Olszański z dosyć dziwną prośbą. Potrzebne mu informacje o sprawie Gałaktionowa. Pan Lepioszkin mu ich, oczywiście, odmówił. No cóż, ma do tego prawo, tajemnica śledztwa - rzecz święta. W zasadzie Kostia mógłby zdobyć

te informacje sam, ale zajęłoby mu to sto razy więcej czasu niż wam trojgu plus Lepioszkin. Otóż Olszański prowadzi sprawę o ujawnienie tajemnicy adopcji. Niejaki Łykov żądał pieniędzy od przybranych rodziców pewnego chłopca, szantażując ich, że ujawni, iż został on przez nich usynowiony. Łykov po zatrzymaniu zeznał, że uzyskał tę informację od niedawno zabitego Gałaktionowa. Skąd mógł się o tym dowiedzieć Gałaktionow? Zapytać o to jego samego już, niestety, nie możemy. Dlatego Kosti pozostaje tylko jedno: przesłuchać jeszcze raz dokładnie wszystkich znajomych zmarłego, żeby znaleźć jakąś nitkę, która doprowadzi go do człowieka, co miał za długi język. Jeżeli Kostia zacznie teraz na nowo niepokoić krewnych, przyjaciół i znajomych Gałaktionowa, zadając im w dodatku dziwne i zupełnie niedotyczące sprawy jego zabójstwa pytanie, to straci mnóstwo sił i czasu i w rezultacie tylko ludzi rozdrażni. Chciałby dostać listę świadków i krótkie *resumé* ich zeznań, ale Lepioszkin nie zgadza się udostępnić mu tych materiałów. Rozumiecie już, o co chodzi?

- Lepioszkin nam również ich nie pokaże - odezwał się Korotkow. - Możemy dać Olszańskiemu jedynie to, co sami zebraliśmy, a o tym, co zdołał wycisnąć ze świadków Lepioszkin, nie mamy pojęcia. Cedził tylko przez zęby jakieś ogólniki, i na tym koniec.

- Kochani, musimy Kosti pomóc.

- Jasne, Wiktorze Aleksiejewiczu, Olszański to równy gość, dobrze się z nim pracuje. Pomożemy. Ale dlaczego Konstantin Michajłowicz nie przejmie od Lepioszkiną sprawy Gałaktionowa?

- A to niby z jakiej racji? Kimże jest Olszański, żeby wybierać sobie sprawy wedle własnego widzimisie? Żeby to zrobić, trzeba najpierw udowodnić, że zabójstwo i ujawnienie tajemnicy adopcji można połączyć w jedną sprawę karną. Masz podstawy, żeby tak sądzić? No właśnie, nie. Ja także nie. Po drugie, należy jeszcze uzasadnić, dlaczego obie sprawy miałyby przejść akurat Olszański, a nie Lepioszkin.

Zwykle – zgodnie z obowiązującymi zasadami – sprawę dotyczącą lżejszego przestępstwa dołącza się do sprawy cięższego, nigdy na odwrót. Czyli adopcję można odebrać Kosti i oddać temu degeneratowi Lepioszkinowi, ale postąpić odwrotnie – już nie. W każdym razie to mało prawdopodobne.

Nastia wracała właśnie od Gordiejewa do swego gabinetu, gdy dopędził ją postawny, czarnooki Misza Docenko, najmłodszy detektyw w wydziale.

– Anastazjo Pawłowno, można na chwileczkę?...

– Proszę wejść, Miszeńka.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, wpuszczając Miszę do gabinetu. Podobał się jej jego upór, wytrwale dążenie do tego, by nauczyć się wszystkiego, czego jeszcze nie umie, otwartość i jakaś niemal dziecięca świeżość uczuć, naiwność. Misza natomiast czuł wobec Kamieńskiej respekt, zwracał się do niej oficjalnie, per „Anastazjo Pawłowno”, już od trzech lat wprawiając tym Nastię w prawdziwe zakłopotanie, ale stanowczo wymawiał się od przejścia z nią na „ty”.

– Napije się pan ze mną kawy? – zapytała, wyjmując duży ceramiczny kubek i grzałkę. Bez kawy nie mogła przeżyć dwóch godzin i jeśli nie zdążyła w porę wlać w siebie filiżanki mocnego, gorącego napoju, czuła się słaba, rozkojarzona, a oczy same jej się zamykały.

– Z przyjemnością, jeżeli to nie kłopot – odparł nieśmiało Misza. – Anastazjo Pawłowno, proszę mnie oświecić w sprawie Lepioszkin, nie wszystko zrozumiałem z tego, co mówił Wiktor Aleksiejewicz.

Misza Docenko odznaczał się jeszcze jedną niezwykłą cechą – był jedynym pracownikiem wydziału, który nigdy nie nazywał swojego przełożonego Pączkiem – nie tylko mówiąc o nim, ale nawet w myślach.

– Widzi pan, Miszeńka, ja sama dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj rano. Otóż od Igora Jewgienjewicza jakiś czas temu odeszła żona, rzuciła go dla przystojnego i bogatego kochanka. Podejrzewam, że jeszcze coś musiało tam być na rzeczy, ale pan, młody człowiek, nie musi się grzebać w tych

brudach. Igor Jewgienjewicz bardzo to przeżywał, tak dalece, że wyrobił sobie dosyć specyficzny pogląd na cudzołóstwo. Według Lepioszkinina mężczyzna, zarówno kawaler, jak i żonaty, może robić wszystko, na co ma ochotę, ale kobieta, która zdradza męża, godna jest absolutnego potępienia. Lepioszkinin nienawidzi tylko swojej żony, natomiast jej nowego męża – nie. Rozumie pan?

– Jak dotąd, tak. – Misza skinął głową, nie spuszczając z Nasti uważnego spojrzenia czarnych oczu. – Woda kipi.

– Dziękuję.

Odwróciła się do stolika, na której stał kubek z grzałką, i wyciągnęła wtyczkę z kontaktu.

– Mocna?

– Średnia.

– Z cukrem?

– Jeśli można, dwa kawałki.

– Można, bardzo proszę. – Nastia wrzuciła do jego filiżanki dwie kostki cukru. – Pańska uprzejmość, Miszeńka, przyprowadza człowieka o zawrót głowy. Czy to pana nie męczy? Ale przepraszam, nie powinnam tak mówić, zagalopowałam się. Wróćmy do Lepioszkinina. Jeżeli Igor Jewgienjewicz przesłuchuje kobietę, która ma kochankę, to taką rozmowę można uznać za stratę czasu. Lepioszkinin zachowuje się ordynarnie, jak nieokrzesany gbur, brutalnie, wręcz po chamsku, dając swojej rozmówczyni do zrozumienia, że podeptała wszelkie normy moralne i nie ma dla niej miejsca w społeczeństwie. To jasne, że przesłuchiwana w takiej sytuacji zamyka się w sobie i nie powie choćby jednego słowa za dużo, byleby jak najszybciej znaleźć się z dala od tego odrażającego typu. A jako że Gałaktionow miał liczne romanse i wiele przelotnych przygód, jest rzeczą zupełnie oczywistą, że jego przyjaciółki stanowią znaczną część źródeł informacji. I oto dziś rano okazało się, że zeznania tych kobiet należy postawić pod znakiem zapytania, z pewnością bowiem są co najmniej niepełne. Kostia Olszański dobrze zna Lepioszkinina, i to on właśnie mnie oświecił.

- Nie opowie mi pani?

- O czym? - zdziwiła się Nastia.

- O tym, co pani mówił Olszański. Co do mnie, w gabinecie Wiktora Aleksiejewicza usłyszałem o tym po raz pierwszy.

- Och, Miszeńka, przepraszam, niech mi pan wybaczy, na Boga! - Nastia dopiero teraz zorientowała się, jaką gafę popełniła. Rzeczywiście przed odprawą nie zdążyła porozmawiać z Miszą, a teraz wyglądało na to, że świadomie odsunęła młodszego kolegę od sprawy, nie wyjaśniając mu, o co w tym wszystkim chodzi. - No cóż, nieładnie jest zwać winę na nieboszczyka, choć, niestety, to dość rozpowszechniona praktyka. Olszański podejrzewa, że Łykov, ten szantażysta, może kłamać i że informacja o adopcji pochodzi wcale nie od Gałaktionowa. Sprawdzić to będzie bardzo trudno, ale Olszański się zaparł, nie popuści, i prosi, żebyśmy mu w miarę możliwości w tym pomogli. Po jednej stronie mamy Krasnikowów, po drugiej - Gałaktionowa, który jakoby znał ich rodzinną tajemnicę. Powinniśmy więc spróbować jakoś połączyć te dwa punkty. Umówiliśmy się, że Konstantin Michajłowicz będzie nam szedł na rękę w sprawie Krasnikowów, a my, ze swej strony, jeszcze raz przetasujemy krąg znajomych Gałaktionowa, tym razem pod kątem ich kontaktów z osobami, które mogły mieć z Krasnikowami do czynienia. Czy to jasne?

- Teraz tak - powiedział z ulgą Docenko i uśmiechnął się.

- No, skoro tak, to możemy się brać do roboty. Niech mi pan przyniesie wszystko, co pan ma na temat Gałaktionowa, ja tymczasem zacznę to porządkować, a pan, Miszeńka, zajmie się kobietami, które przesłuchiwał Lepioszkin. Niech pan wymyśli jakąś przekonywającą historijkę, zamąci im w głowach, byleby się tylko rozgadały. Żadna z osób, z którymi rozmawialiśmy, nie powiedziała nic, z czego można by wnioskować, skąd Gałaktionow miał informację na temat adopcji. Nikt słowem nie wspomniał ani o jakichkolwiek kontaktach z pracownikami urzędu stanu cywilnego, ani o oddziale

położniczym, ani o Saratowie, gdzie chłopiec się urodził i został usynowiony. Ale przecież naszemu nieboszczykowi to wszystko się nie przysniło, prawda? Musi być ktoś, kto mu o tym powiedział. I właśnie tego kogoś musimy wyłuskać.

Gdy Michaił przyniósł jej notatki dotyczące zabójstwa Gałaktionowa, Anastazja zamknęła się w gabinecie, zrobiła sobie jeszcze jedną kawę, uprzątnęła z biurka wszystkie niepotrzebne papiery i zagłębiła się w studiowanie listy osób, z którymi Aleksander Władimirowicz Gałaktionow miał takie czy inne powiązania.

## 6

Inna Litwinowa, niewysoka, barczysta, krępa, lekko wbiegła po schodach, w jednej ręce niosąc wypchaną teczkę, w drugiej – ciężką torbę z zakupami. Otworzyła drzwi swojego mieszkania, weszła do przedpokoju i od razu wyчуła, że Julia jest w domu.

– Kotku! – zawołała uradowana. – Wróciłam!

Nikt jej nie odpowiedział. Inna szybko zrzuciła zabłocone buty i nie zdejmując nawet futrzanej kurtki, weszła do sypialni. Julia leżała w łóżku z książką, jej długie, jasnorude włosy wydawały się złote na tle błękitnej powłoczki; na ładniutkiej buzi malował się wyraz niezadowolenia i nudy.

– Kotku, czemu się nie odzywasz? Żle się czujesz? – zapytała z troską w głosie Inna.

– Normalnie – rzuciła od niechcenia Julia.

– Zaraz zrobię kolację. Masz ochotę na sałatkę z krabów? Kupiłam...

– Przecież wiesz – wciąż tak samo leniwie wycedziła dziewczyna. – Zjadłabym pieczarki, wczoraj ci mówiłam. Kurczaka z pieczarkami. I świeże krewetki.

– Wszystko kupiłam, koteńku, nie bądź zła, zaraz się biorę do roboty – gorliwie zapewniła Inna.

- Naprawdę? - Julia wyraźnie się ożywiła. To po prostu zdumiewające, skąd u tej młodej dziewczyny taki wyrafinowany smak i upodobanie do wyszukanych dań. Jadła niewiele, miała bardzo zgrabną, wytworną sylwetkę, ale jej wymagania kulinarne były prawdziwie królewskie; Julia wiedziała, że Inna, nieprzytomnie w niej zakochana, gotowa jest zrobić wszystko, byleby tylko sprawić jej przyjemność.

Kolację Inna przyniosła Julii do sypialni. Siedząc obok, na brzegu łóżka, z rozczuleniem obserwowała, jak dziewczyna z apetytem zajada krewetki, maczając je w specjalnym sosie.

- Smakują ci? - spytała z nadzieją Inna.

- Normalka - obojętnie odparła Julia. - Obiecałaś mi, że pojedziemy nad Morze Śródziemne, gdzie w restauracjach podaje się ostrygi, krewetki i homary. Kiedy to będzie?

- Niedługo, koteczku. Już wkrótce będziemy miały dużo pieniędzy, bardzo dużo. Niewykluczone, że ja nie będę mogła z tobą pojechać, ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś się wybrała sama, prawda?

Inna bardzo pragnęła usłyszeć w odpowiedzi ubolewania, że nie mogą pojechać na wycieczkę razem. Jednakże - tak jak się spodziewała - usłyszała zupełnie co innego.

- W porządku, sama też sobie poradzę. Tak nawet będzie lepiej. Więc kiedy pojedę?

- Nie mogę ci powiedzieć dokładnie. Sądzę, że dostanę pieniądze w ciągu dwóch, najdalej trzech miesięcy. Teraz mamy styczeń, a to znaczy, że już w maju najprawdopodobniej będziesz mogła pojechać.

- No to załatwione. - Julia poweselała. - W maju wyruszę do Włoch, nad morze, na ostrygi.

Inna starannie zmyła w kuchni naczynia i przetarła podłogę mokrą ścierką. Musiała utrzymywać w mieszkaniu idealną czystość, gdyż Julia uwielbiała chodzić boso i najczęściej przez cały dzień paradowała w białych, bladoniebieskich lub lilioworóżowych peniuarach, a wtedy nie daj Boże, by na kuchennym stole został wilgotny ślad po filiżance z kawą czy lepki po spodeczku z konfiturami.

Uporawszy się ze sprząaniem, weszła do łazienki. Zdjęła spódnice, ciemną bluzkę o surowym męskim kroju, została w samej bieliźnie i z przyzwyczajenia rzuciła spojrzenie w lustro. Zobaczyła proste ramiona, potężny tors, wąskie, krzepkie biodra. Najmniejszego wcięcia w talii. Twarz nieładna, o grubych rysach. Krótko ostrzyżone włosy, przetykane wczesną siwizną. Tak, Inno Litwinowa, nie jesteś piękną, ale to w końcu nie takie ważne. Mężczyzna nawet nie powinien być urodziwy, w zupełności wystarczy, jeśli jest choć odrobinę przystojniejszy od małpy.

Stojąc pod prysznicem, z czułością pomyślała o Juli, o jej złocistych włosach i mlecznobiałej skórze na tle błękitnego prześcieradła, i poczuła w dole brzucha ćmiący, ale przyjemny ucisk. Juleczka... Juleńka... Kociątko...

## ROZDZIAŁ 2

### 1

Dima Krasnikow przyszedł na świat w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku w Saratowie. Jego matka, Wiera Borisowna Bobrowa, nie wyszła za męża, ale obroniwszy pracę doktorską i doczekawszy się wreszcie spółdzielczego mieszkania, w wieku czterdziestu trzech lat postanowiła urodzić dziecko. Jej rodzice byli już starzy i przerażała ją perspektywa zostania zupełnie samą na świecie.

Pojechała więc na południe, do sanatorium, gdzie – jak wiadomo – najłatwiej postarać się o ciążę, ale za pierwszym razem się nie powiodło. Powtórzyła więc próbę, lecz i ta zakończyła się niepowodzeniem. Wiera pragnęła zająć w ciążę ze zdrowym, niepijącym mężczyzną, a na takiego trafiła dopiero pod sam koniec pobytu w sanatorium, i chociaż udało jej się zaciągnąć go do łóżka, nic z tego nie wyszło.

Trzeci wyjazd okazał się pomyślny, chociaż lekarz ostrzegł, że pierwsza ciąża i połóg w wieku czterdziestu pięciu lat to rzecz ryzykowna. Ojciec Wiery niedawno zmarł, została tylko matka, która dźwigała już ósmy krzyżyk i bynajmniej nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Perspektywa całkowitej samotności była więc tak blisko, że Wiera postanowiła zlekceważyć opinię lekarza, choć ten z naciskiem radził jej przemyśleć sprawę, powoływał się na wyniki badań, ekg, i uprzedzał, że istnieje poważne niebezpieczeństwo, iż cała historia nie skończy się dobrze.

Jego przewidywania się sprawdziły. Stryjeczna siostra Wiery, Olga Bobrowa, rodowita moskwianka, zatrudniona w tym czasie – zgodnie z nakazem pracy po ukończeniu instytutu pedagogicznego – w Kursku jako nauczycielka języka rosyjskiego, na wieść o śmierci kuzynki czym prędzej przyjechała do Saratowa.

– Ciociu Lubo, chciałabym zabrać chłopczyka, co ty na to? – spytała ciotkę. – Sama nie dasz sobie z nim rady, a oddawać go do domu dziecka, chociaż ma rodzinę, która mogłaby się nim zająć, naprawdę się nie godzi.

Matka Wiery Borisowny musiała przyznać kuzynce rację. Olga nazwała chłopca Dmitrij, sprawy urzędowe udało się załatwić łatwo i szybko, częściowo dlatego, że zmarła siostra i Olga nosiły to samo nazwisko, jako że ich ojcowie byli rodzonymi braćmi. Co najmniej w połowie urzędów fakt, że Olga Bobrowa załatwia jakieś dokumenty dla Dmitrija Bobrowa, nie budził najmniejszych zastrzeżeń.

W chwili gdy nastąpiły owe smutne wydarzenia, okres, który należało odpracować w Kursku zgodnie z nakazem, miał się już ku końcowi. Za dwa i pół miesiąca Olga zamierzała wrócić do Moskwy, do rodziców, a za miesiąc planowała ślub z Pawłem Krasnikowem, nauczycielem historii w tej samej szkole, w której i ona była zatrudniona.

– Czy możesz zostawić dziecko jeszcze na jakiś czas w Saratowie? – chciał wiedzieć Paweł, kiedy podekscytowana

Olga zadzwoniła do niego do Kurska i poinformowała go o swoich poczynaniach.

- Po co? - zapytała z rezerwą.

- Weźmiemy ślub tutaj, w Kursku, potem razem pojedziemy do Saratowa i załatwimy dziecku zmianę nazwiska. Później napiszesz do rodziców list, w którym będziesz się kajać, że urodziłaś chłopca na miesiąc przed ślubem, a wcześniej wstydziałaś się ich zawiadomić, że spodziewasz się dziecka. I żeby wkrótce oczekiwali cię razem z mężem i synem w bohaterskiej stolicy Moskwie, dokąd przyjedziemy, by zamieszkać z nimi pod jednym dachem.

- I co to da? - nie mogła zrozumieć Olga. - Po co te wszystkie komplikacje?

- Nie jestem zwolennikiem niepotrzebnego rozgłosu - wyjaśnił jej przyszły mąż. - Im mniej ludzi będzie wiedziało, że usynowiliśmy chłopca, tym spokojniejsze życie czeka nas w przyszłości. Jeżeli przywieziesz teraz dziecko do Kurska, to wszyscy zorientują się, co jest grane, ponieważ nikt tutaj nie widział cię w ciąży. A tak wyjedziesz stąd po prostu jako szacowna mężatka, a do Moskwy wrócisz jako szczęśliwa młoda mamusia. Wszyscy, którzy wiedzą o usynowieniu chłopca, zostaną w Saratowie. Rozumiesz teraz?

- Chcesz, żebym przemilczała ten fakt przed swoimi rodzicami? Ale to się nie uda, jest przecież ciocia Luba, ona im opowie. Rodzice wiedzą, że Wieroczka zmarła przy porodzie.

- To porozmawiaj z ciotką. Dobrze ci radzę, Oleńko, postaraj się ją przekonać. Jesteś mądrą dziewczynką, będziesz wiedziała, co jej powiedzieć. To, co chcę zrobić, tylko wyjdzie chłopcu na dobre. Im mniej osób wie, tym lepiej, wierz mi, kochanie - łagodnie namawiał ją Paweł. - Postaraj się dogadać z ciotką. Nie uda się, to trudno, ale warto spróbować. Nie wiemy przecież, kim jest ojciec chłopca, gdzie twoja siostra zaszła w ciążę. A jeśli utrzymywała z tym człowiekiem kontakt aż do przyjścia na świat Dmitrija? Może ten mężczyzna wie, że urodził mu się syn. Skąd pewność, że

pewnego pięknego dnia nie wkroczy w nasze życie z butami, żeby wszystko zburzyć?

Olga zmuszona była przyznać Pawłowi rację. Załatwiła całą sprawę zgodnie ze wskazówkami narzeczonego i trzy miesiące później świeżo upieczona rodzina – młodzi małżonkowie i niemowlę imieniem Dima – zawitała w progi moskiewskiego mieszkania Bobrowów. Ciocia Luba uległa namowom Olgi i obiecała solennie, że nic nie powie bratu swojego zmarłego męża ani jego żonie. A pół roku później zmarła.

Tak więc w Moskwie tajemnicę usynowienia Dimy znali jedynie Krasnikowowie. W Saratowie zaś ci, którzy wiedzieli o śmierci Wiery Borisowny Bobrowej, nie mieli pojęcia, jakie nazwisko nosi teraz trzymiesięczny Dimoczka, ci natomiast, co byli świadomi, że Dima Bobrow zamienił się w Dimę Krasnikowa, nic nie wiedzieli o tym, że jego prawdziwa matka umarła.

Przetrawiając ten prosty wniosek, Konstantin Michajłowicz Olszański czuł się dosyć niepewnie. Oczywiście, teoretycznie każdy mógł prześledzić koleje losu Dimy Krasnikowa od chwili narodzin aż do dziś, ale żeby to zrobić, musiałby być chyba pracownikiem urzędu ochrony danych osobowych i mieć dostęp do wszystkich dokumentów, złożonych w archiwach oraz zadawać pytania mnóstwu ludzi, których najpierw należałoby odszukać, gdyż w ciągu ostatnich piętnastu lat niemal wszyscy, zatrudnieni w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, opuścili ówczesne miejsce pracy. Jedni przeszli na emeryturę, drudzy zmarli, niektórzy się przeprowadzili. Ponadto ktoś taki musiałby jeszcze znaleźć samych Krasnikowów. Cóż z tego, że jakiś gaduła z Saratowa powie mu dziś: „W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku załatwiałem sprawę zmiany nazwiska z «Bobrow» na «Krasnikow» pewnemu chłopcu. I wiem dokładnie, że chociaż w papierach jako jego matka figuruje Olga Bobrowa, on nie jest jej rodzonym synem”. Krasnikowa była wówczas zameldowana w Kursku, stamtąd – przez Saratów – przyjechała przed piętnastu laty do

Moskwy. Mieszka teraz gdzie indziej niż wtedy, gdy Dima był dzieckiem przy piersi, i uczy w innej szkole niż ta, w której zaczęła pracować po powrocie do stolicy. Oczywiście, Krasnikowów dałoby się odszukać, ale to znów sprawa dla milicji lub prokuratury. Nie, szeregowy obywatel nie byłby w stanie tego wszystkiego dokonać.

„I co z tego właściwie wynika?” – zadawał sobie pytanie Konstantin Michajłowicz, siedząc przy biurku w swoim gabinecie, pochylony nad otwartą teczką z materiałami w sprawie Krasnikowów i Leonida Łykowa. Możliwe są tylko dwa warianty: albo sami Krasnikowowie komuś się wygadali, albo w całą historię jest zamieszany funkcjonariusz milicji lub pracownik prokuratury, który dogrzebał się do dokumentów i podzielił z kimś zdobytą informacją. Ale z kim? Z Łykwem? To znaczy, że Łykw kłamie i kryje tamtego, zwalając winę na Gałaktionowa. A może informator przekazał nowinę Gałaktionowowi? Skoro tak, to Łykw mówi prawdę, pośród znajomych Gałaktionowa zaś musi być nieuczciwy przedstawiciel instytucji dysponujących danymi osobowymi obywateli, tyle że z jakichś powodów żaden z blisko osiemdziesięciu przesłuchanych nie wymienił nazwiska tego człowieka ani nawet słówkiem o nim nie wspomniał. Wygląda więc na to, że jeśli Gałaktionow znał kogoś takiego, to trzymał tę znajomość w ścisłej tajemnicy, nikogo do niej nie dopuszczając. Ciekawe dlaczego? I skąd miał takie kontakty?

Jeżeli jednak Łykw kłamie, to najwidoczniej sam zna informatora. Ale Leonid Łykw pracuje w serwisie samochodowym i sprawdzenie jego kontaktów to syzyfowa praca. Należałoby w tym celu zwolnić z innych obowiązków połowę detektywów z Pietrowki i połowę śledczych z prokuratury miejskiej. Ale cóż, sprawdzić trzeba, nie da się tego ominąć.

Co się tyczy Saratowa, to Olga Krasnikowa nie pamiętała z nazwiska nikogo, kto przed piętnastu laty był „z urzędu” wtajemniczony w całą historię. Dlatego też wyłuskanie spośród tych osób „gadudy” trzeba będzie powierzyć milicji. Sumiennie wypełniając niezliczone formularze, Konstantin

Michajłowicz Olszański w głębi duszy był przekonany, że to stracone zachody. Żądano od niego wzorcowej sprawy, a we wzorcowej sprawie, dotyczącej naruszenia tajemnicy adopcji, powinny się znaleźć informacje o wszystkich, którzy mieli z nią coś wspólnego. I formularze też muszą być wypełnione wzorowo.

## 2

Energicznie otworzył drzwi i wszedł do jednego z pomieszczeń laboratorium. Siedzący przy komputerze mężczyzna odwrócił się i skinął mu głową na powitanie.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparł żywo. - Co słyhać? Kiedy złożysz pracę habilitacyjną?

- Na najbliższe posiedzenie rady nie zdążę, a następnie zostało wyznaczone na pierwszy marca, chciałbym się wyrobić w tym terminie.

- A dlaczego na najbliższe nie zdążysz?

- Mam problemy z przepisywaniem. Maszynistka była chora, ale obiecuje w ciągu dziesięciu dni przepisać cały tekst razem z autoreferatem. Jeżeli dotrzyma słowa, to policzmy: dziesięć dni plus jeden na czytanie, wyłapanie literówek i sprawdzenie wzorów plus jeszcze jeden, żeby wszystko poprawić i złożyć u sekretarza naukowego minimum na tydzień przed planowanym terminem posiedzenia - a więc razem dwadzieścia dni. A na najbliższe posiedzenie rada zbiera się za dwa tygodnie.

- Ale na następne na pewno zdążysz? Pamiętasz, że w planie prac instytutu twoje kolokwium habilitacyjne przewidziane jest na drugi kwartał? Żeby zamknąć sprawę przed końcem czerwca, musisz koniecznie przedstawić pracę radzie pierwszego marca. Zanim wydrukują autoreferat, upływie miesiąc. Zanim go roześlą, zanim wpłyną recenzje... Jaka jest twoja macierzysta uczelnia?